W NUMERZE

TEMATY TYGODNIA

10 Artur Domosławski **Rozrachunki po mundialu**
14 Jacek Żakowski **Historia narodowej histerii**
17 Wojciech Szacki **Miller–Palikot: wymuszone zjednoczenie**
20 Wiesław Władyka **22 lipca, dawniej święto**

SPOŁECZEŃSTWO

22 Dariusz Koźlenko **Co zrobić z dziećmi w wakacje**
26 Juliusz Ćwieluch **Życzenia dla Polski**
28 Piotr Pytlakowski **Przypadki kaprala Kapeli**
31 Joanna Podgórska **Crowdfunding po polsku**

RYNEK

34 Adam Grzeszak **Rosjanie podchodzą pod Tarnów**
38 Joanna Solska **Wewnątrzrządowy konflikt o piwo**

ŚWIAT

40 Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz UKRAINA **Bitwa o Donieck**
43 Tomasz Zalewski USA **Do czego służy sumienie**
46 Dariusz Kałan BUŁGARIA **Państwo w rękach tłustego misia**

HISTORIA

48 Jarosław Pałka **LWP – historia formacji wymazywanej z pamięci**
51 Adam Krzemiński **Teatr polityczny w rocznicę pierwszej wojny**

10 **Brazylia kontra Brazylia**

38 **Ile piwa w piwie**

43 **Klauzula sumienia w Ameryce**

NAUKA

54 Adam Zubek **190 lat dinozaurów**
58 Edwin Bendyk **Facebookowe eksperymenty na ludziach**

PÓŁPRZEWODNIK POLITYKI

60 Ziemowit Szczerek **Pomorskie opowieści**

KULTURA

68 Janusz Wróblewski **Prowokator Ken Russell**
72 Waldemar Kuligowski **Rock w muzeum**
74 Aneta Kyzioł **„Mayday": teatralny hit 20-lecia**
76 Pisarka **Candace Allen** o tym, co zrobić, żeby publiczność w filharmonii nie była wyłącznie elitarna
78 KAWIARNIA LITERACKA **Michał Witkowski**
79 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

LUDZIE I STYLE

80 Rozmowa z **Alexem Atalą** o jedzeniu mrówek i smakach Amazonii
82 Andrzej Czerniawski **Strefy bez wi-fi**
84 Sławomir Mizerski PIŁKARSKA LOŻA POLITYKI **Wielki finisz**

NA WŁASNE OCZY

92 Przemysław Kozłowski /TESTIGO.PL **Palestyna – raport znad przepaści**

STAŁE RUBRYKI

- **4** Mleczko i Mizerski
- **5** Ludzie i wydarzenia
- **64** Afisz • **86** Passent
- **88** Stomma • **90** Fusy
- **91** Do i od redakcji
- **98** Polityka i obyczaje

POLITYKA portrety miast polskich

Za tydzień: Szczecin

Szczecin, najbardziej europejskie z polskich miast. Tak przynajmniej podpowiada mapa – ze stolicy Pomorza Zachodniego bliżej do Berlina i krajów skandynawskich niż do Warszawy. Ta bliskość do świata jest jednocześnie miarą dystansu, który powoduje, że Szczecin – miasto 400-tysięczne – jest najbardziej zagadkową z polskich metropolii, niepewną swojej tożsamości i niepewną też przyszłości. Już za tydzień kolejny raport z cyklu Portrety Miast Polskich. Więcej w naszym blogu miejskim portretymiast.blog.polityka.pl.

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

andrzej mleczko

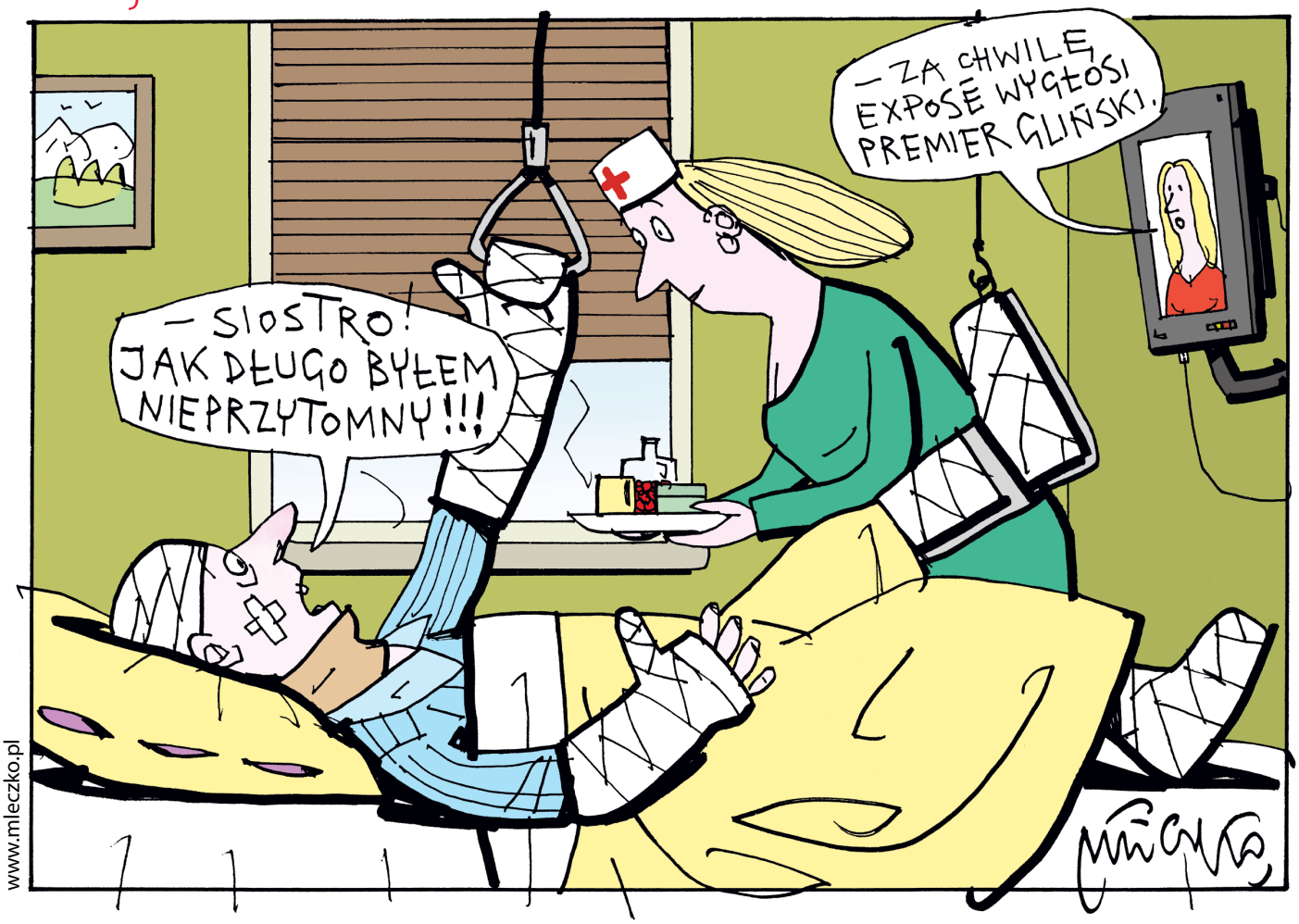

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

www.mleczko.pl

sławomir mizerski z życia sfer

felieton

Dopłaty do niepisania

Nagranie z udziałem dziennikarza Nisztora i mecenasa Giertycha ukazuje nowy trend w dziennikarstwie, polegający na pisaniu książek w celu ich niepublikowania. Z nagrania wynika, że w przypadku książki Nisztora o biznesmenie Janie Kulczyku padła kwota 400 tys. zł. Niektórzy uważają to za pazerność. Moim zdaniem niesłusznie, w końcu napisanie książki i dotarcie do kogoś, kto zechciałby zapłacić za jej niewydanie, mogło kosztować mnóstwo czasu i wysiłku, więc pieniądze się należą.

Uważam, że od osób takich jak Nisztor nie można wymagać, aby napisane przez siebie książki publikowali i narażali się w ten sposób na straty. Zwłaszcza że napisać i opublikować książkę to dziś żadna sztuka. Księgarnie pełne są książek, które wszyscy piszą, ale których nikt nie czyta. Nie wykluczam, że książki te są wydawane tylko dlatego, że w kraju jest za mało adwokatów, którzy potrafiliby zablokować ich publikację, wypijając dwa litry wódki na trzech. Nie rozumiem tylko, dlaczego Nisztor bezpłatnie ujawnił nagranie, na którym usiłuje zapobiec publikacji swojej książki, sprzedając prawa autorskie nietrzeźwemu Giertychowi? Moim zdaniem bardziej by mu się opłacało napisać o tym książkę, a następnie zaproponować Giertychowi wykupienie praw do niej.

Być może niedługo autorzy tacy jak Nisztor pójdą dalej i zaczną zarabiać na książkach, których jeszcze nie napisali, ale mogą, jeśli nie otrzymają stosownego wynagrodzenia. Najwyżej cenione będą oczywiście biografie tych osób, które za nieopisywanie ich w książce zaoferują autorowi największe pieniądze. Na drugim biegunie znajdzie się, niestety, współczesna proza i poezja, na której zarobić jest o wiele trudniej. Niedawno znajomy poeta skarżył mi się, że wydawnictwa, z którymi współpracuje, nie są zainteresowane płaceniem mu nie tylko za książki, których jeszcze nie napisał, ale również za te, które napisał i wydał.

Autorzy zdolni, tacy jak Nisztor, z nienapisanych i niewydanych książek z pewnością jakoś wyżyją. Mniej obrotna reszta mogłaby być finansowana ze środków UE. Nie widzę powodu, dla którego polscy autorzy nie mieliby dostawać pieniędzy za powstrzymywanie się od pisania i publikowania, skoro polscy rybacy dostają pieniądze za powstrzymywanie się od rybołówstwa, a polscy rolnicy – za powstrzymywanie się od siania i zbierania. Boję się tylko, że szalenie trudno będzie powstrzymać grafomanów, bo ci z pisania książek nie zrezygnują za żadne pieniądze.

Opera żebracza

Za dyrygowanie polską polityką, w sposób mniej lub bardziej poważny, wzięło się tyle osób, organizacji oraz instytucji, że można odnieść wrażenie przepychanki przy pulpicie. Po jednym tygodniku (przechodzącym z systemu druku na system audio), po partiach opozycyjnych, do dyrygowania przystąpiła prokuratura wspierana przez ABW i CBA. Wszystkich chciał przelicytować dyrygent solista Waldemar Pawlak, który mógł wreszcie dokonać tak oczekiwanego przez wielu aktu destrukcji koalicji. Jednak nie dokonał.
Jarosław Kaczyński nie ryzykował i sięgnął po partyturę starą, wypróbowaną i zagrał prof. Glińskim jako żelaznym kandydatem na premiera technicznego z tym samym od lat przemówieniem o coraz większej szkodliwości rządów Tuska. Oczywiście przegrał, ale też zapewne niczego innego się nie spodziewał. Jeśli myślał, że przynajmniej w sejmowym pojedynku na słowa pokona premiera Tuska, to też się przeliczył. Jako koło ratunkowe jawi mu się „pakiet demokratyczny", dzięki któremu (po uchwaleniu stosownej ustawy oczywiście) premier będzie raz w miesiącu odpowiadać wszystkim. Szef PiS najwyraźniej liczy, że przy pomocy Palikota, Millera oraz innych wreszcie Tuska złamie. Zapewne znów się przeliczy. Premier, choć ciągle mu się coś wali na głowę, jest w zadziwiająco dobrej formie.

Na razie więc Kaczyński jednoczy prawicę. Sam termin „zjednoczenie prawicy" przywodzi na myśl operę buffo. PiS jest jedyną dużą, zwartą partią radykalnej prawicy, wokół której krążą osoby chcące się dostać na listy wyborcze i ewentualnie wyżebrać trochę pieniędzy na przeżycie. To jest coś na kształt opery żebraczej. Zjednoczenie Ziobry z Kaczyńskim – czy to brzmi poważnie? A Kaczyńskiego z Gowinem? To są petenci, którzy muszą odłożyć na bok swoje niezłomne do niedawna przekonania i prosić o łaskę. Czy Jarosław Gowin jeszcze wspomina, że PiS to partia socjalistyczna, a on jest najprawdziwszym liberałem, wielbicielem Balcerowicza i obrońcą OFE? Kaczyński chce przecież OFE zlikwidować, podobnie jak NFZ, i wszystko upaństwowić. Czy wolnorynkowe sumienie Gowina nie cierpi, nie odczuwa chęci sięgnięcia po jakąś klauzulę sumienia? Gowin i Ziobro (właśnie stworzyli wspólny klub w Sejmie jako element przetargowy w rozmowach z PiS) to para wprawdzie osobliwa, ale jakoś tam kompatybilna, choć Gowin od metod Ziobry jako ministra sprawiedliwości jeszcze niedawno bardzo się odżegnywał. Być może uznał, że błądził i to Ziobro, dewastując prokuraturę, miał rację?

W każdym razie jednoczyć się z Kaczyńskim można tak, jak zrobił to Jacek Kurski, który najpierw zażartował, że wycofuje się z polityki, znikł na chwilę, a potem prezesa najwyraźniej przeprosił, na kongres przybył i się zjednoczył. Zapewne bez gwarancji na przyszłość, choć przydatność Kurskiego w czasie kampanii już sprawdzano i nie wypadała ona źle. W PiS brakuje spin doktorów, w przeciwieństwie do chętnych na miejsca na listach. Jarosław Kaczyński rządzi swoją partią samodzielnie, ale nawet on musi się liczyć z oporem własnego, głodnego posad aparatu. Nie można wykluczać, że za jakiś czas na nowym kongresie zjednoczeniowym prawicy znów ktoś uderzy się w piersi i zostanie przygarnięty. Ale jakieś koalicje, partie zachowujące choćby ślady podmiotowości? – wolne żarty. Prezes na ostatnim kongresie postawił sprawę jasno – ma być jeden zwarty klub, żadnych dyskusji, żadnych odszczepieńców.

Szlagierem tygodnia miały stać się wnioski o wotum nieufności – dla rządu i dla ministra spraw wewnętrznych. Przy tego rodzaju wotach to opozycja musi zebrać 231 głosów, czyli faktycznie stworzyć nową większość. Na razie to rząd ma większość, co dwa tygodnie wcześniej bez trudu sprawdził. Tak więc nawet napięcie wokół wotum dla ministra Sienkiewicza budowano nieco sztucznie, bo jego odwołanie przy udziale ludowców, a tylko tak mogło się ono dokonać, oznaczało koniec koalicji. A przynajmniej powinno oznaczać. Za mniejsze przewiny Leszek Miller ludowców natychmiast wyrzucił z koalicji. Tym razem PSL był w o tyle komfortowej sytuacji, że nawet jeśli ktoś nie przyszedłby na głosowanie lub się wstrzymał, minister i tak by pozostał na stanowisku. Chodziło jednak nie o liczbę głosów, lecz zwartość koalicji i tę Tusk z Piechocińskim osiągnęli bez większego trudu i bez wielkich targów. W sprawę jednak wdała się prokuratura i z tego faktu, rzeczywiście niepokojącego, postanowił skorzystać Waldemar Pawlak, by przypomnieć o sobie, osłabić Piechocińskiego i być może nawet wrócić na fotel prezesa PSL już 26 lipca podczas posiedzenia Rady Naczelnej PSL.

Pozycja Pawlaka w PSL mocno osłabła, jego kandydaci w wyborach do PE przepadli, on sam w kampanii bardziej szkodził, niż pomagał, i okazało się, że bez niego ludowcy osiągnęli lepszy rezultat, niż się spodziewano. Dla byłego prezesa PSL był to więc ostatni moment, by rozegrać swoją partię. Wniosek (zgłoszony na forum obrad plenarnych, po wcześniejszej wyraźnej przegranej w klubie PSL), aby głosowanie nad wotum nieufności dla ministra Sienkiewicza odłożyć do 22 lipca w celu upewnienia się, że nie głosuje się „pod szantażem" (premiera oczywiście, bo czyj miałby to być szantaż?), wzbudził entuzjazm prawicy, ale też zamieszanie w szeregach ludowców. Po przeszukaniu przez CBA na polecenie prokuratury pokoju sejmowego posła Burego, a także jego domu i innych biur, nastrój wśród ludowców sprzyjał Pawlakowi, który upominał się o kolegę. Można zrozumieć, że Waldemar Pawlak ma obsesję na punkcie udziału służb specjalnych w polityce, bo to one w znacznej mierze przyczyniły się do tego, że przestał być premierem koalicji SLD-PSL, ale tym razem zagrał wyłącznie na siebie. Na razie, dzięki pomocy i zdecydowaniu premiera, ale może przede wszystkim rozsądkowi doświadczonych działaczy PSL, to wewnętrzne starcie wygrał Piechociński. Pawlak zaś stał się bohaterem PiS, która to partia akurat stanowi największe zagrożenie dla ludowców. Ta akcja może mieć więc dalsze konsekwencje, bo nikt dziś nie wie, jak zareaguje tak zwany teren czy członkowie Rady Naczelnej.

Reakcja zależeć może w dużej mierze od tego, co zrobi i powie prokuratura, która, czy tego chce czy nie, stała się ważnym dyrygentem życia politycznego. Wypowiedzi rzeczników prokuratury, że ona swoje czynności wykonuje niezależnie od wydarzeń politycznych, brzmią mało poważnie. Zresztą co to za informacja o „przeszukaniach"? Informować można o podejrzeniach, postawionych zarzutach, bo wtedy wiadomo, o co chodzi. Czy prokuratura informuje o każdym przeprowadzonym przeszukaniu czy tylko o niektórych? Prokuratura, podobnie jak mające znaczący udział w ostatnich wydarzeniach ABW czy CBA, powinna być ślepa na polityczne barwy, ale to nie znaczy, że ma być w ogóle ślepa, a w dodatku pozbawiona wyobraźni i rozumu. Chyba że ma swój rozum, przede wszystkim polityczny. Ostatnio sporo wskazuje, że tak właśnie jest. A projektu ustawy o prokuraturze zwiększającej nadzór prokuratora generalnego nad poczynaniami podwładnych i wprowadzającej elementarną choćby kontrolę parlamentarną nad tą instytucją nie ma. Rząd sporo kłopotów zafundował sobie na własne życzenie.

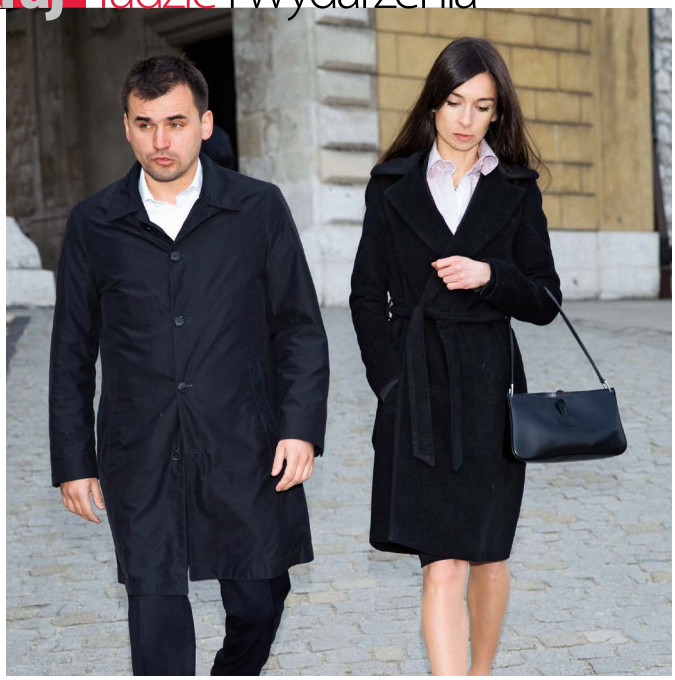

© ŁUKASZ KALINOWSKI/EAST NEWS

Rozwód bardzo polityczny

Prawicowi publicyści mają kłopot z **Martą Kaczyńską**, ma go również jej stryj Jarosław Kaczyński. – *Jesteśmy w klinczu, bo z wielu wewnętrznych badań wynika, że Marta może nam bardzo politycznie pomóc, ale biorąc pod uwagę jej nieuporządkowane życie osobiste, może zaszkodzić* – mówi osoba z kierownictwa PiS. „Nieuporządkowane życie" to rozpadające się małżeństwo z **Marcinem Dubienieckim** – nie mieszkają ze sobą już od półtora roku. Zrobiło się o tym głośno, gdy małżonkowie oficjalnie poinformowali, że się rozwodzą, zapowiadając, że sprawa przebiegnie szybko i bezboleśnie. Jednak na prośbę samego prezesa PiS Marta Kaczyńska skutecznie wnioskowała o przełożenie terminu rozprawy, który zbiegał się ze szczytem kampanii wyborczej do europarlamentu. Politycy PiS przyznają, że obawiali się zamieszania medialnego, przy którym nie obyłoby się bez roztrząsania osobistego życia córki Lecha i Marii Kaczyńskich. Po eurowyborach nastąpił jednak kolejny zwrot akcji, bo sąd zdecydował o zawieszeniu sprawy rozwodowej. O ile najważniejsze osoby w PiS są wdzięczne Marcie za przełożenie rozprawy, o tyle wszyscy woleliby, aby teraz samo małżeństwo przeszło do historii. – *Pan Dubieniecki nie wpisuje się dobrze w wizerunek PiS, chyba wciąż ma wpływ na Martę i znowu może oznaczać dla nas kłopoty* – mówi poseł PiS.

Jarosław Kaczyński w wydanej tuż przed wyborami w 2011 r. książce „Polska naszych marzeń" o mężu bratanicy wspomniał tylko dwa razy, nawet nie wymieniając jego nazwiska. O drugim małżeństwie Marty (z Dubienieckim) napisał: „Dla młodej kobiety [rozwód] to było straszne przeżycie. I to pewnie doprowadziło do drugiego, bardzo szybkiego małżeństwa". To właśnie wtedy Dubieniecki wykluczył publicznie udział Marty w kampanii prezydenckiej w 2010 r. Niedługo po tym ona sama, urażona, odmówiła wyborczego wsparcia stryja: „Nie będzie mnie w żadnych spotkaniach i wiecach wyborczych" – zadeklarowała w tabloidach.

Prezes Kaczyński nie był nawet na ich ślubie, tak jak i Jadwiga Kaczyńska, babcia Marty. Relacje między Dubienieckim a prezesem PiS są chłodne z wielu powodów. Po pierwsze, ojciec Marcina był funkcjonariuszem SB, należał do PZPR, a potem do SLD. Po drugie, chyba ważniejsze, Dubieniecki prowadzi interesy z ludźmi, jak mówi prezes, „o marnej reputacji". Podpadł też prezesowi tym, że kiedyś obraził posłankę Jolantę Szczypińską, mówiąc o niej: „nie chcę jako wyborca, aby reprezentował mnie w Sejmie ktoś, kto nie rozumie podstawowych pojęć z zakresu gospodarki, a jedynie potrafi mącić we własnej partii". Teraz zaś został pełnomocnikiem w sprawie przeciw prof. Chazanowi, który odmówił wykonania aborcji uprawnionej do tego pacjentce, a jest mocno wspierany przez PiS.

Z kolei sam Marcin Dubieniecki gotów był startować w wyborach z list PiS. Próbą jego politycznej wartości miały być ostatnie wybory samorządowe, w których do sejmiku pomorskiego chciał kandydować z pierwszego miejsca. Choć do tego nie doszło, w wywiadach nadal dawał do zrozumienia, że widzi się wręcz w roli następcy Jarosława Kaczyńskiego, a przynajmniej w ścisłej czołówce liderów tej partii. To oczywiście też mocno irytowało prezesa. „Marcin Dubieniecki ma poglądy inne niż PiS, więc byłoby to coś niezwykłego, gdyby pojawił się na naszych listach" – mówił Mariusz Błaszczak, szef klubu PiS.

Gra Marty Kaczyńskiej z PiS zaczęła się jeszcze w kampanii prezydenckiej po katastrofie smoleńskiej. Sztab wyborczy prezesa PiS zrobił wówczas badania, które miały pokazać, jak najskuteczniej poprawić wizerunek Jarosława Kaczyńskiego. Wyszło, że receptą jest obecność u jego boku bratanicy Marty. Teraz chyba bardziej liczy się, aby u boku Marty nie było Marcina Dubienieckiego, ale na to się jednak na razie nie zanosi. **(Dąb.)**

Fikcyjny król szos

Fiat 126p to najpopularniejszy model samochodu w Polsce według Centralnej Ewidencji Pojazdów. Na koniec zeszłego roku w ewidencji było 1 728 241 maluchów. Król dzierży tytuł od lat. Trzymając zarejestrowanego starego malucha, kierowcy zyskiwali kiedyś ciągłość, a więc zniżki przy ubezpieczaniu kolejnych pojazdów. W ciągu ostatnich pięciu lat z ewidencji ubyło zaledwie 95 tys. małych fiatów. Chyba że ktoś podejdzie do sprawy realistycznie. – *Te liczby to pełna fikcja. Zdecydowana większość tych samochodów już dawno nie istnieje, tylko nikt ich nie wyrejestrował* – mówi urzędnik zajmujący się transportem. Jego słowa potwierdzają ubezpieczyciele, którzy coraz rzadziej oglądają ten model auta. – *W ciągu ostatnich 12 miesięcy zarejestrowaliśmy zaledwie 85 szkód z udziałem fiatów 126p* – mówi Michał Makarczyk, prezes firmy VIG Ekspert, która likwiduje szkody dla kilku firm ubezpieczeniowych.

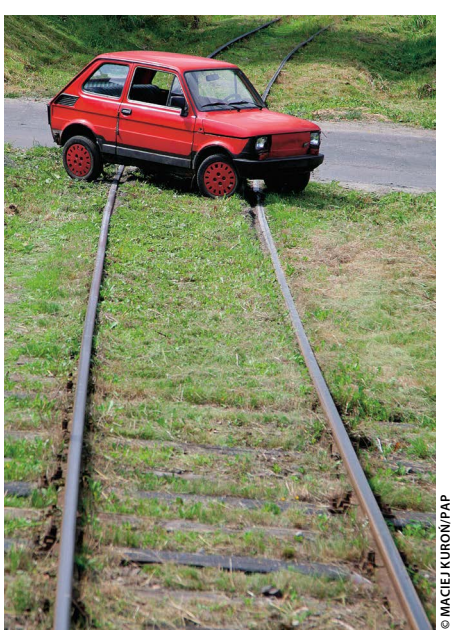

© MACIEJ KURÓN/PAP

Maluchów mało jest nie tylko w realu, ale i na internetowych aukcjach. – *Kilka tygodni temu na potrzeby jednego z programów motoryzacyjnych chcieliśmy kupić małego fiata* – opowiada Jacek Balkan, dziennikarz motoryzacyjny. Okazało się jednak, że ten model samochodu to biały kruk. – *Ofert jest co kot napłakał i dzielą się na absurdalnie drogie albo tanie, ale kupuje się auto wraz z kawałkiem podwórka, w które zdążyło wrosnąć* – dodaje Balkan. Fikcyjne dane z CEPiK przekładają się również na fikcyjne dane dotyczące całego rynku. – *Trudno się dziwić, że mamy tak absurdalnie wysoką średnią wieku pojazdu* – dodaje Balkan. Nadal trzymając się danych CEPiK, potencjalnym następcą malucha jest Volkswagen Golf.

Na koniec zeszłego roku w rejestrze było 892 890 golfów. **(JULL)**

Nisztor story

Kim jest Piotr Nisztor? To jedna z najciekawszych zagadek, jakie wciąż towarzyszą tzw. aferze podsłuchowej.

Ujawnienie prywatnej rozmowy z Romanem Giertychem i Janem Pińskim to było w wykonaniu Piotr Nisztora posunięcie strategiczne i ucieczka do przodu. Od roku spekulowano, co zrobił z książką, którą, jak sam rozpowiadał, pisał o biznesmenie Janie Kulczyku – plotka głosiła, że zabawił się w szantaż, sprzedał książkę (napisaną lub jeszcze nie) bohaterowi dzieła za 1 mln zł, po to, aby nigdy nie ujrzała światła dziennego. Dziś także dawni koledzy Nisztora sugerują, że to mógł być jego pomysł na życie: miał szykować podobne „książki" na innych najbogatszych biznesmenów. – *To ja Nisztora stworzyłem* – przyznaje z niejakim bólem Jan Piński, dziś redaktor naczelny miesięcznika „Uważam Rze". Piński mówi, że to on wyposażył Młodego w kontakty z tzw. źródłami. – *Połowę informatorów miał od mnie, drugą od Andrzeja Kleszczewskiego* – wyznaje. – *Zastanawiamy się z Andrzejem, który z nas jest ojcem, a który matką Młodego.*

Kleszczewski to właściciel prywatnej przychodni na warszawskiej Saskiej Kępie. Był m.in. prezesem Polfy Tarchomin, Polskiego Holdingu Farmaceutycznego, działał we władzach i radach nadzorczych kilku prywatnych spółek: m.in. SKOK Wołomin oraz Hawe i Electus, związanych z Markiem Falentą (który ma zarzuty udziału w tzw. aferze podsłuchowej). Trudno powiedzieć, co skłoniło doświadczonego menedżera z branży nie tylko medycznej do utrzymywania bliskiej towarzyskiej znajomości z młodym człowiekiem, dopiero raczkującym w zawodzie dziennikarza. – *Poznałem go przez Tomka Sakiewicza, mojego dobrego kolegę, naczelnego „Gazety Polskiej"* – mówi dr Kleszczewski. – *Piotr Nisztor tam wtedy pracował, ale potem o coś się z Sakiewiczem poróżnił i go zwolnili.*

Kleszczewski wprowadził Nisztora w swoje kręgi. Poznał go m.in. z Markiem Falentą, prezesem SKOK Wołomin Mariuszem Gazdą, a także z biznesmenami działającymi w orbicie wołomińskiego SKOK. Jan Piński rozprowadził go wśród swoich znajomych ze świata biznesu i polityki. Zapoznał go też z Romanem Giertychem. Piotr Nisztor szybko rozbudowywał krąg znajomych. – *Na urodzinach Piotra widziałem zbiorowisko osobliwości* – opowiada dawny znajomy Nisztora. – *Były dowódca GROM gen. Roman Polko, płk Śledzik ze Służby Więziennej, dzisiaj sędzia, gen. Paweł Pruszyński, były wiceszef ABW. Co drugi to człowiek służb, obecnych i dawnych, nie wyłączając Służby Bezpieczeństwa. Przedstawił mi płk. Maćkowiaka, szefa Wojskowego Centrum Normalizacji, Jakości i Kodyfikacji, tłumacząc, że to ważny facet, wydaje jakieś certyfikaty i jest po imieniu z generałami.* Jan Piński zauważa, że Młody zawsze działał z wyrachowaniem. Zaprzyjaźniał się, ale nie był lojalny. – *Nawet przyjaciół potrafił gryźć w dłonie.*

Andrzej Kleszczewski (podobnie jak Piński) też czuje się pogryziony. W styczniu 2013 r. Nisztor wysłał do niego e-maila z pomówieniami zawartymi w pytaniach. Wynikało z nich, że uważa Kleszczewskiego za agenta CBA o pseudonimie „Romek" (teraz tygodnik „wSieci" sugeruje, że to Nisztor jest agentem CBA). Padła też sugestia o nagraniu jakiejś rozmowy z Kleszczewskim. E-maile z licznymi pytaniami to była specjalność red. Nisztora. Sam wyjaśnia, że „kwestia wysyłania pytań do bohaterów publikacji jest jednym z elementów pracy dziennikarza". Krążą opowieści o setkach pytań, jakimi zasypywał znanych biznesmenów, m.in. Jana Kulczyka, Leszka Czarneckiego, Ryszarda Krauze, Michała Sołowowa czy Jerzego Staraka. Miał w nich poruszać niezwykle skomplikowane kwestie biznesowe, ale też dopytywać o sprawy obyczajowe. Andrzej Piechocki, prezes giełdowej spółki MNI, opublikował specjalny komunikat giełdowy, w którym przytoczył 75 pytań zadanych mu przez Nisztora, aby „zapobiec rozpowszechnianiu bezpodstawnych informacji dotyczących spółki". Pytania dotyczyły relacji Piechockiego z innymi osobami i firmami, ale też zawierały sugestie dotyczące uwikłań prezesa MNI z okresu PRL.

Według Andrzeja Kleszczewskiego wysłał też prowokujące pytania do szefa SKOK Wołomin. – *Nisztor rozmawiał z nim prywatnie, byli na „ty", a potem treść towarzyskich pogawędek wykorzystał w pytaniach. Prezes SKOK był tym oburzony* – mówi. Na początku 2014 r. pojawiła się plotka, że Piotr Nisztor został ostro skarcony (pobity?) przez osoby związane ze SKOK Wołomin. Sam Nisztor zaprzecza, nigdy nie został przez nikogo pobity. Po (rzekomym) pobiciu (zastraszeniu?) przez kilkanaście dni nie pokazywał się publicznie. Mniej więcej w tym czasie spółka wydająca periodyk „7 Dni Puls Tygodnia" rozwiązała z nim umowę o pracę, był tam zatrudniony jako redaktor naczelny. Jednym z powodów było zaniedbanie obowiązków, przez jakiś czas nie pojawiał się nawet w pracy. – *Dawałem mu materiały do publikacji o interesach Jana Burego z PSL z biznesmenami z branży energetycznej, chciał to opisać* – mówi Jan Piński. – *Nie opisał, za to przyjął posadę u tych biznesmenów, bo to oni dali pieniądze na tygodnik „7 Dni Puls Tygodnia".*

© ANNA ABAKO/EAST NEWS

Poseł Józef Rojek (Solidarna Polska) wystosował w grudniu 2013 r. zapytanie do ministra gospodarki m.in. w sprawie niejasnych biznesowych powiązań posła Burego. Stwierdził, że spółka wydająca „7 Dni Puls Tygodnia" jest powiązana z firmą energetyczną Elektrix, wspieraną przez Jana Burego w okresie, kiedy był wiceministrem skarbu. Jan Bury został potem blogerem tygodnika, a na łamach jego nazwisko pojawiało się wyłącznie w pozytywnym kontekście. Znajomy Nisztora pamięta, że krótko przed powstaniem tego tygodnika ten atakował Burego pytaniami. – *Mówił, że go dojeżdża. Kiedyś zadzwonił do niego telefon. Powiedział, żebym siedział cicho, bo to Bury. Dał na funkcję głośnomówiącą. Bury o coś go prosił i brzmiało to żałośnie* – opowiada.

– *Powiedzenie o dojeżdżaniu było jego ulubionym zwrotem* – mówi Jan Piński. – *Dojedziemy misia, tak zapowiadał swoje kolejne akcje.* Sławomir Wróbel (nazwisko zmienione), swego czasu bliski kolega Piotra Nisztora, pamięta, że tuż przed wybuchem sprawy prezydenta Sopotu Jacka Karnowskiego, Piotrek pakował torbę przed podróżą na Wybrzeże: – *Był podekscytowany i mówił, że jedzie „dojechać" Karnolka.*

Piotr Nisztor nazywa sam siebie dziennikarzem śledczym. Faktycznie, podczas wypraw na Wybrzeże próbował śledzić także tamtejszego potentata biznesowego Ryszarda Krauzego. – *Pytał mnie o materiały na Krauzego* – ujawnia Jarosław Pieczonka, były policjant CBŚ z Trójmiasta. – *Czego konkretnie szukasz, pytałem. Wszystkiego, co będzie kompromitujące, odrzekł. Nie pomogłem mu.*

Pieczonka przez jakiś czas utrzymywał kontakty z Nisztorem, ale potem je zerwał, bo, jak mówi, zaczął podejrzewać, że ten człowiek tylko udaje dziennikarza. Zbiera haki na ludzi i traktuje je jak trofea, ale nie do publikacji. – *Po co to robi? Mogę się domyślać, że dla jakichś innych korzyści* – mówi były funkcjonariusz.

Nisztor na wszelkie stawiane mu pytania ma gotowe odpowiedzi. Zaprzecza.

Piotr Pytlakowski

Więcej czytaj na www.polityka.pl/kraj

© GETTY IMAGES

Szpiegowska kumulacja

Ostatnio stosunki między Niemcami a USA ochłodziły się tak mocno 11 lat temu, gdy rząd Gerharda Schrödera sprzeciwił się amerykańskiej inwazji na Irak. Teraz chodzi o wywiad amerykański. Rok temu Edward Snowden doniósł, że Amerykanie szpiegowali m.in. abonentów niemieckich sieci telefonicznych, prawdopodobnie na podsłuchu mieli także prywatne rozmowy kanclerz Angeli Merkel (wcześniej również Schrödera). Wiosną Amerykanie nie zgodzili się przedstawić materiałów, które zgromadzili, inwigilując Merkel, a teraz Niemcy zaczęli ujawniać amerykańskich informatorów w swoich urzędach i wydalili z kraju szefa berlińskiej komórki CIA.

Skandal wygląda jak z czasów zimnej wojny i powieści Johna le Carré: urzędnik z ministerstwa obrony i pracownik centrali wywiadu mają być amerykańskimi agentami. Ten drugi miał podobno niezauważony wynosić z biura całe segregatory dokumentów, które kopiował, a za ich przekazywanie brał pieniądze. Jak to w historii szpiegowskiej jest sporo różnych „nie wiadomo", np. czy ów pracownik brał pieniądze jedynie od sojuszników? Oburzenie na łamanie zasad i podrywanie zaufania podchwyciła m.in. rosyjska prasa, która obficie cytowała wypowiedzi niemieckich polityków, od lewa do prawa, albo pomstujące na amerykańskie podstępy, albo wskazujące na bezsens takiego zachowania w przypadku dwóch tak bliskich mocarstw. Amerykanie nie mają sobie wiele do zarzucenia, tym bardziej że obie służby blisko współpracują i Niemcy i tak dzielą się wieloma własnymi danymi wywiadowczymi. USA dają do zrozumienia, że nadal będą podglądać i słuchać, bo taka jest natura wywiadów.

Kanclerz Merkel, sama przez Amerykanów podsłuchiwana, nie spodziewa się, by doszło na tym tle do jakiegoś trwałego rozłamu i by skandal szpiegowski utrudnił np. zawarcie właśnie negocjowanego porozumienia handlowego między Unią Europejską i USA. Nie wiadomo tylko, czy pani kanclerz dotrwa na urzędzie do podpisania umowy. „Spiegel" twierdzi, że Angela Merkel, wbrew swoim wcześniejszym zapewnieniom, jako pierwszy szef niemieckiego rządu od 1949 r. rozważa rezygnację z kanclerzowania w 2017 r., by ubiegać się o stanowisko prezydenta Rady Europejskiej lub pierwszej w historii sekretarz ONZ. Ciekawe, czy Amerykanie wiedzieli o tym przed „Spieglem"?

Bracia Rotenberg budują się

To bardzo udany przykład stylu podmoskiewsko-oligarchicznego we współczesnej rosyjskiej architekturze. Ale też trafiło na „królów zamówień publicznych", braci Arkadego i Borysa Rotenbergów. Od lat budują innym (m.in. infrastrukturę dla Gazpromu, obiekty olimpijskie w Soczi, nowe lotnisko Szeremietiewo), to zbudowali i dla siebie. W interesach często działają razem, będąc dziś w Rosji najbardziej wpływową parą biznesmenów – to i w prominentnej podmiejskiej Żukowce zamieszkali drzwi w drzwi. 62-letni dziś Arkady był najbliższym kolegą z dzieciństwa Władimira Putina, potem we trójkę zgłębiali sztuki walki, więc razem z 57-letnim Borysem są do dziś sparingpartnerami prezydenta w dżudo. Ta przyjaźń, jeśli trywialnie przeliczać ją na pieniądze, w przypadku Borysa warta jest (według rosyjskiego „Forbesa") 4 mld dol., a brata – 1,7 mld. Lotnicze **zdjęcie podwójnej rezydencji** zamieścił na swojej stronie internetowej antykremlowski opozycjonista Aleksiej Nawalny i to on bierze odpowiedzialność za akuratność tych informacji. Bracia znaleźli się na amerykańskiej liście osób objętych sankcjami za rosyjską inwazję Krymu. Miło więc pomyśleć, że przynajmniej w ojczyźnie mają przytulną przystań.

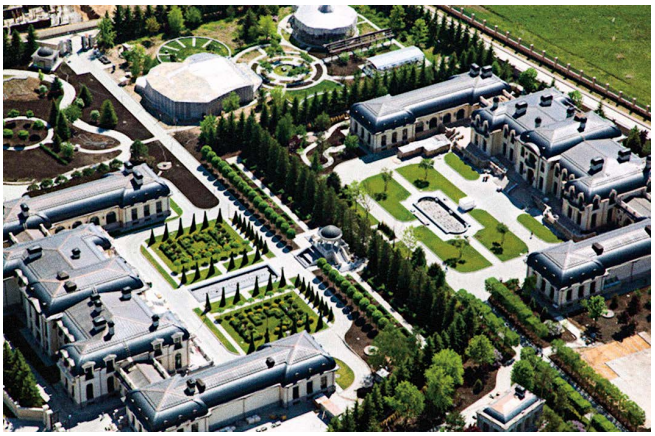

© AN

© AP/FOTOLINK

Pokaż mi swoją grupę krwi

Największymi hitami na japońskim rynku wydawniczym są pozycje poświęcone poszczególnym grupom krwi, a właściwie temu, jak grupa krwi określa nasz charakter, predyspozycje i zachowania oraz relacje z innymi ludźmi. Nowa modna tu teoria głosi, że taki związek – i to silny – istnieje. Śniadaniowe programy telewizyjne i gazety podają regularne horoskopy właśnie w oparciu o ketsueki-gata, charakter grupy krwi. Również szereg produktów, od gumy do żucia po prezerwatywy, przeznaczonych jest dla posiadaczy konkretnych grup krwi, a koncern Mitsubishi Electric wybrał ekipę inżynierów o grupie AB, bo podobno sprzyja talentom innowacyjnym i wynalazczym. Portale randkowe też dobierają partnerów według zgodności krwi. Z kolei ministra Ryu Matsumotę kosztowało to (dwa lata temu) utratę stanowiska, bo tłumaczył swoje zachowanie grupą krwi B, co – jak wyjaśniał publicznie – skutkuje wybuchowym temperamentem. Czym mocno uraził innych posiadaczy krwi tego znaku – i w rezultacie musiał odejść.

© AP/FOTOLINK

Rozdarty Hongkong

Demokracja się wam nie opłaci, to w skrócie sens osobliwych ogłoszeń, które w hongkońskiej prasie zamieściła tzw. wielka czwórka, czyli czołowe firmy doradzające biznesowi na całym świecie. Ich zdaniem masowy ruch domagający się reformy zasad wyboru szefa lokalnej administracji niepotrzebnie rozdrażni władze ChRL, przyczyni się m.in. do spadków na miejscowej giełdzie i sprowadzi na miasto katastrofę. Metropolia (7 mln mieszkańców), dawna kolonia brytyjska, od 17 lat jest częścią Chin kontynentalnych i zachowuje szeroką autonomię i protestujący chcą, by także szef administracji regionu wybierany był w głosowaniu powszechnym. W tej sprawie na początku lipca ruch Okupuj Central z Miłością i w Pokoju (Central to dzielnica finansowa) zorganizował nieformalne referendum. Wzięło w nim udział 780 tys. osób, zaś w wieńczącej głosowanie manifestacji szły setki tysięcy, może nawet ponad pół miliona. Demonstrację zakończyła akcja siedzącego protestu przerwanego przez policję, która brutalnie usunęła pół tysiąca okupujących. Hongkong pozostaje rozdarty. Miasto jest antykomunistyczne, ale z drugiej strony dobrze się ma i pozostaje jedną ze stolic Azji dzięki interesom, które robi z resztą Chin.

W Indonezji dwóch prezydentów...

Dopiero po 21 lipca ogłoszone będą oficjalne wyniki wyborów prezydenckich w najludniejszym kraju muzułmańskim świata (190 mln wyborców). Nieoficjalne dają zwycięstwo raz jednemu, raz drugiemu pretendentowi. Tak czy inaczej, obaj idą łeb w łeb i obaj początkowo ogłosili swoje zwycięstwo. Wtedy inicjatywę przejął odchodzący (po dwóch kadencjach) prezydent Susilo Bambang Yudhoyono. Zaprosił do siebie na odrębne spotkania panów Joko Widodo (znanego lepiej jako Jokowi) i Prabowo Subianto. Nie wyprowadzajcie ludzi na ulice, poprosił. Poczekajcie na oficjalne wyniki. Jokowi, gubernator Dżakarty, ma reputację reformisty i człowieka o czystych rękach, co w kraju zżeranym przez korupcję czyni go ulubieńcem nie tylko ludu, ale i biznesu. Na wiadomość, że prowadzi w sondażach, dobrze zareagowała indonezyjska giełda. Ale establishment, do którego należy jego rywal, były generał Prabowo, nie próżnował. Poszedł w ruch czarny PR. Rozpuszczono plotki, że Jokowi nie jest muzułmaninem, tylko chrześcijaninem chińskiego pochodzenia. Prabowo, zięć dyktatora Suharto (zmarłego w 2008 r.), zaczął nadrabiać straty w sondażach i dogonił konkurenta. Rzutem na taśmę Jokowi odbył jeszcze pielgrzymkę do Mekki i wrzucił do internetu film niepozostawiający wątpliwości, że jest praktykującym wyznawcą islamu. Jak trwoga, to do Allaha.

...w Afganistanie liczą od nowa

Z kolei Afgańczycy wybierają prezydenta już od kwietnia i nie ma szans, że poznają jego nazwisko do końca lipca. Ale w afgańskich okolicznościach lepiej mieć jednego prezydenta później niż dwóch już teraz.

Najnowszy kryzys nad urnami wybuchł na początku miesiąca, gdy komisja wyborcza ogłosiła „wstępne" wyniki drugiej tury głosowania. Rezultat 56 do 44 (w proc.) dla Ashrafa Ghaniego był zaskakującym odwróceniem proporcji z pierwszej tury, w której zwyciężył Abdullah Abdullah (imię i nazwisko). Ten natychmiast oświadczył, że nie uznaje „wstępnych" wyników i zagroził powołaniem własnego rządu. Gdyby nie trwający ramadan, talibowie już otwieraliby szampany. Amerykańska inwestycja „Afganistan" pochłonęła miliardy dolarów i życie ponad 2 tys. amerykańskich żołnierzy. Upadek centralnego rządu byłby dla osłabionych talibów darem niebios, a dla wyjeżdżających w tym roku Amerykanów porażką pewnie większą niż rozpadający się Irak.

Do akcji wkroczył jednak sekretarz stanu USA John Kerry, jedyny Amerykanin, z którym Afgańczycy chcą jeszcze rozmawiać. I w sobotę wieczorem doprowadził do cudu: na wspólnej konferencji Ghani i Abdullah obiecali, że uznają wyniki ponownego przeliczenia głosów, nadzorowanego tym razem przez ONZ. Amerykanie mają dużą wprawę w udrażnianiu afgańskiej polityki. 5 lat temu niemal fizycznie zmusili odchodzącego prezydenta Hamida Karzaja, aby wystartował w drugiej turze wyborów, bo on sam twierdził, że wygrał już w pierwszej. Ale czego się nie robi dla budowania demokracji na Bliskim Wschodzie.

© EPA/PAP

Brazylia kontra Brazylia

Mundialu w Brazylii nie wygrała żadna wielka gwiazda. Wygrał kolektyw i chodzi tu nie tylko o zwycięską drużynę Niemiec.

Artur Domosławski z Rio de Janeiro, Salvadoru i Manaus

To był mundial nad mundialami – tak jak życzyła sobie prezydent Dilma Rousseff. Trwający miesiąc karnawał. Słońce, plaża, muzyka, dziesiątki nacji i języków. A przede wszystkim mistrzowski poziom wielu, o ile nie większości meczów – aż do finału, najlepszego ze spotkań. Do chwili, w której padł jeden jedyny gol Maria Goetzego w drugiej części dogrywki, naprawdę nie było wiadomo, kto wygra. Faworytami byli nadzwyczajni od pierwszego meczu Niemcy (4:0 z Portugalią Cristiano Ronaldo), ale w ostatniej partii to Argentyńczycy mieli więcej okazji. Brakowało ciut, by Leo Messi stał się w kraju tym, kim jest po wsze czasy Diego Maradona. Czy zatem – idąc tropem licznych humoresek – Benedykt ma większe niż Franciszek wpływy na górze?

Mundial nad mundialami – ale nie dla Brazylii. Gazetowe tytuły krzyczały przed turniejem: Nasz mundial, nasz puchar! Tymczasem zdarzyło się sportowe trzęsienie ziemi, kataklizm, tsunami: drugie *maracanazo*, a właściwie *mineirazo* (od nazwy stadionu Mineirao w Belo Horizonte). Takie imię nosi teraz okrutna, ale i stylowa demolka gospodarzy mundialu przez Niemców 7:1. Gdyby wskazywać wydarzenie numer jeden mistrzostw, to nie był nim finał, lecz niemiecki huragan, który zmiótł z boiska brazylijskich piłkarzy, a wraz z nimi sen Brazylii

o trafieniu szóstki – szóstego mistrzostwa i innych pozafutbolowych marzeń.

Prąd, którego zabrakło w niektórych dzielnicach z powodu przeciążenia sieci – wszyscy naraz włączyli telewizory – po pół godzinie półfinału z Niemcami wrócił. Było już 5:0. Ludzie ze złamanymi sercami wyłączali odbiorniki. Dla nich mundial skończył się 8 lipca, około 17.30 miejscowego czasu.

Kilka dni później publicyści porównywali porażkę 7:1 do... klęski USA w wojnie wietnamskiej, a osłupienie, z jakim patrzono na kataklizm na stadionie w Belo Horizonte, do osłupienia Francuzów przyglądających się wejściu wojsk Hitlera do Paryża w 1940 r. Przywołano też zamachy 11 września 2001 r. w Nowym Jorku.

Boisko jako lustro

Choćby z tych przesadnych, wręcz niedorzecznych porównań widać, że sromotna porażka z Niemcami to dla Brazylijczyków nie zwykła przykrość sportowa. Miliony ludzi patrzą tu na boisko jak w lustro i na podstawie sukcesów bądź porażek drużyny formułują sądy o kraju i współrodakach. Jesteśmy tacy albo śmacy, bo ktoś strzelił albo wpuścił gola. Futbol ma sekretną władzę nad brazylijską duszą.

Maracanazo, kiedy to w 1950 r. w finale mundialu Brazylia przegrała z Urugwajem, wywołało narodową traumę, o której gadano 64 lata później – przed tym mundialem. Kto mógł przypuszczać, że zdarzy się coś bardziej upokarzającego? Zwłaszcza że obecna drużyna miała pomścić przodków i wygrać mundial w swoim kraju.

Gazeta „Diario de Pernambuco" po klęsce z Niemcami dała na pierwszej stronie tytuł „Barbosa, odpoczywaj w pokoju". Moacir Barbosa, zmarły w 2000 r., to bramkarz wyklęty, uznany za sprawcę nieszczęścia 64 lata temu. *Maracanazo* prześladowało go do końca życia: dotknął go ostracyzm, wiele lat później nie wpuszczano go na jakiś stadion jako kibica, bo przynosi pecha. U kresu dni powiedział, że maksymalna kara w Brazylii za zbrodnię to 30 lat więzienia, a on dostał dożywocie bez sądu.

Gdy Brazylia organizowała mundial w 1950 r., chciała pokazać się jako wschodząca potęga, którą wtedy nie była. Teraz jest – niedoskonałą, mającą setki problemów, ale to regionalne mocarstwo o aspiracjach globalnych; przede wszystkim gospodarczych.

Maracanazo zrodziło w Brazylii zjawisko nazwane kompleksem ulicznego kundla (*vira-latas*). Jesteśmy mieszaniną ras, etni, narodów i kultur i dlatego przegraliśmy z białymi, „rasowymi" Urugwajczykami. Gorsi, niezdolni do sukcesów, skazani, żeby dostawać po głowie. Pięć lat po zwycięstwie nad nazizmem w Europie w tropikalnym brazylijskim powietrzu krążyły haniebne teorie o rasach wyższych i niższych.

Jakie demony obudzi dewastująca porażka 7:1 z Niemcami? Teraz przecież mundialowa bajka zaczynała się podobnie. Brazylijczycy chcieli pokazać światu nie tylko, jak się gra w piłkę, ale zaprezentować kraj jako przykład tego, jak osiągać wzrost gospodarczy i zarazem dbać o rozbitków. Zobaczcie, znaleźliśmy receptę dla ubogiego świata. Świętujmy sukces na stadionach, czujcie się jak u siebie w domu.

Ale lęk, że sprawy pójdą źle, czuło się podskórnie od początku imprezy. Ni stąd, ni zowąd odrodził się kompleks kundla, jak gdyby ludzie bali się, że jeśli drużyna przegra, będzie to oznaczać, że coś z krajem i jego mieszkańcami jest nie tak. A jeszcze wydaliśmy tyle miliardów – i wszystko na nic!

Znowu: wszystko przez to, że boisko to w Brazylii zwierciadło. Wygrana – jesteśmy super, nie tylko jako naród kopiący piłkę, ale jako naród w ogóle. Przegrana – jesteśmy przybłędami, bękartami, do niczego się nie nadajemy. Nawet jeśli brzmi to niepoważnie, to ważna informacja dla zrozumienia tutaj zbiorowych zachowań.

Chwilę po klęsce rozmowa w barze z parą młodych, wykształconych *favelados*: – *U was w Europie lepiej się żyje, prawda? Macie lepszą służbę zdrowia, szkoły, nie ma takiej przestępczości.* Porażka na boisku uruchomiła w ciągu kilka minut, jakby automatycznie, uśpiony kompleks.

Komentatorzy polityki obawiali się, że jeśli drużyna przegra, powstanie zbiorowe odczucie, że nie potrafimy ani zorganizować mundialu, ani go wygrać, jesteśmy do niczego. Dziś brzmi to jak kronika zapowiedzianej klęski.

Prof. Mauricio Murad, socjolog, który utworzył przed laty pierwszą katedrę w Ameryce Łacińskiej zajmującą się refleksją nad futbolem, mówi, że upokarzająca masakra w meczu z Niemcami ma dwie składowe. Pierwszą jest „nieprzewidywalne, jakie niesie futbol". Druga to „skutek sekwencji zdarzeń pozaboiskowych".

Piłkarze czuli, że zwycięstwo to ich obowiązek narodowy; mieli świadomość, że wygrana ma usprawiedliwić ostro krytykowane wydatki na stadiony; i że muszą wziąć odwet za *maracanazo* z 1950 r. – *Powstał klimat, w którym hurrapatriotyzm miał rozwiązać wszystkie problemy na boisku i poza nim.* Zapłakany kapitan drużyny David Luiz przepraszał naród, zapewniał, że chciał przynieść radość ludowi, który cierpi. – *To nieporozumienie* – mówi Murad. – *To nie piłkarze mają przynosić ulgę cierpieniom ludzi, lecz rząd, dobra polityka.*

Popełniono też błędy szkoleniowe, uważa Murad. Zbudowano drużynę wokół jednego zawodnika – Neymara, nie mając planu B, gdyby złapał kontuzję. A złapał. Karmiono się samooszustwem po zwycięstwie w Pucharze Konfederacji rok temu: trener Scolari uznał, że drużyna jest potęgą, a nie była. Nie wziął pod uwagę, że do gry o tamten puchar tylko Brazylia podeszła serio – inni byli zmęczeni rozgrywkami ligowymi w Europie i myśleli o wakacjach.

Wreszcie – klęska obciąża dyktatorskie metody Scolariego, który nie słuchał rad. Scolari to sympatyk Pinocheta, który wierzy w zalety dyktatorskiego rządzenia. – *Dlaczego uparł się na Freda, słabego napastnika, a co najmniej bez formy?* – pyta Murad i dodaje, że zrobił piłkarzowi krzywdę, bo dziś ów Fred – który jako jedyny z reprezentacji gra w lidze brazylijskiej – stał się współczesnym Barbosą (tym bramkarzem, którego obwiniono o *maracanazo*). Fred nie będzie miał życia, co pokazują obelgi, jakimi jest obrzucany w mediach społecznościowych.

Dziennik „O Globo" uzupełnia grzechy główne o kilka innych. Anachroniczne szkolenie zawodników. Słabi trenerzy – żaden Brazylijczyk nie prowadzi istotnego klubu w Europie. Uprzedzenia wobec obcych – Brazylia nie korzysta z usług zagranicznych trenerów, bo przecież obcy nie będą nas uczyć, jak grać w piłkę. O poprowadzeniu *canarinhos* marzyła pewna gwiazda: Pep Guardiola, zanim objął Bayern Monachium. Bossowie brazylijskiego futbolu uparli się na swojaka.

Niektórzy z tych ludzi działali lub szkolili jeszcze w czasach, gdy Puchar Świata wznosił... Pele. Sam Scolari wygrał mundial w 2002 r. Ale futbol się zmienia, ewoluuje; Scolari i prawdziwa mafia działaczy sportowych – nie bardzo.

Mesjaszy nie trzeba

Z brazylijskiego mundialu można wyciągnąć różne lekcje – nie tylko piłkarskie. Nie warto tak zupełnie lekceważyć zapatrzenia Brazylijczyków w boiska i przyjrzeć się temu, czy te mundialowe czegoś nam nie mówią o świecie i o nas.

Trafną sugestię po pierwszych meczach, a potwierdził ją dalszy ciąg mundialu, uczynił felietonista „New York Timesa" Roger Cohen: to turniej drużyn, nie gwiazd. Mundial socjalistyczny? Przywołał postać trenera Atletico Madryt Diega Simeone z Argentyny, który przez kilka lat konsekwentnie budował drużynę jako kolektyw, bez wielkich pieniędzy. Na kupowanie gwiazd nie było go stać, raczej wychodziły spod jego ręki. Simeone pokazał, że bez dziesiątków milionów euro na kupowanie gwiazd też można, choć jego sukces to pewnie incydent, nie reguła. Doszedł z Atletico do finału Ligi Mistrzów i gdyby miał odrobinę więcej szczęścia, wygrałby ją. I tak jest dla wielu herosem. Słusznie. ▶